

**Krysia.**

***Wspomnienie Pani Profesor Anny Drzewickiej  
o Pani Profesor Krystynie Kasprzyk***

O śp. prof. Krystynie Kasprzyk wiele mogą powiedzieć przede wszystkim jej uczniowie – dawni studenci, doktoranci, habilitanci, których kształciła, formowała, wdrażała do studiów i do samodzielnej pracy naukowej, dla których była mistrzynią i przewodniczką. To oni przedstawią zapewne jej sylwetkę jako badacza, nauczyciela i człowieka, jej biografię i bogaty dorobek naukowy. Mnie poproszono tylko o krótkie wspomnienie z perspektywy łączącej nas przez długie lata przyjaźni.

Ale czy ta perspektywa przyjacielska różni się tak bardzo od tamtej, uczniowskiej? W jakimś sensie ja także, od początku, wciąż się czegoś od niej uczyłam. Kiedy poznałyśmy się, byłam młodą absolwentką filologii romańskiej odbywającą „aspiranturę”, jak się to wtedy nazywało, czyli studia doktoranckie, na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ona, starsza ode mnie o dziesięć lat (przepraszam, o dziewięć i pół, co nieraz żartobliwie podkreślała), pracowała jako asystent na romanistyce Uniwersytetu Warszawskiego. Poznałyśmy się w niezwykłych okolicznościach: obie znalazłyśmy się w czteroosobowej grupce romanistów-szczęściarzy wydelegowanej przez Ministerstwo na wyjazd do Francji. Wyjazd do Francji! Dla dzisiejszego pokolenia jest chyba rzeczą niewyobrażalną, co to znaczyło wówczas, po latach stalinizmu i zupełnej niemożności jakiegokolwiek podróży na Zachód. Był rok 1956, od jakiegoś czasu trwała już nieśmiała odwilż, lody zaczynały pękać. Przekroczenie żelaznej kurtyny, pierwsze zanurzenie w świecie, w którym wszyscy nie tylko mówią po francusku, ale są rzeczywiście Francuzami – nie, to się z początku wydawało snem. Tam właśnie, w Grenoble, poczułyśmy się sobie bliskie i tam usłyszałam: „No, niech ja się odmłodzę, możemy sobie mówić: ty”. Ale i tak pozostałam „małą” i „szczeniakiem” – układ hierarchiczny między nami od początku był oczywisty.

Ten dwumiesięczny wspólny pobyt najpierw w Grenoble, potem w Paryżu był czasem wzajemnego odkrywania się, nieśmiałego wychodzenia sobie naprzeciw. Byłyśmy obie naznaczone, każda inaczej, traumatycznym piętnem stosunkowo niedawnej jeszcze wojny i trudnych lat powojennych. Powoli udawało się wychodzić z bolesnych kryjówek, otwierać się, mówić o sobie i słuchać tej drugiej. A w dodatku nad nami toczyła się znowu historia. To właśnie w Paryżu przeżywałyśmy trwożnie polski Październik z jego zwodniczą nadzieją i zaraz potem tragedię zgniecionego brutalnie węgierskiego zrywu. Ważne, trudne do zapomnienia chwile.

Po tym pierwszym, decydującym spotkaniu przyszły następne – w różnych miejscach i przy różnych okazjach, w Polsce i we Francji; przyszły także listy, podstawowy w tamtych czasach sposób komunikacji na odległość, znacznie później również telefony (o żadnych pocztach internetowych nigdy nie było mowy – Krysia oparła się wszelkiej komputeryzacji i do końca pozostała wierna swojej starej maszynie do pisania). Nie jest jednak moim zamiarem odtwarzać całą historię przyjaźni, nie zawsze zresztą płynącej spokojnym nurtem, czasem burzliwej: różniłyśmy się pod wieloma względami, Krysia miała zwyczaj rąbać, co myślała, prosto w oczy, a ja też stawałam okoniem. Przy tym wszystkim, nawet wśród zażartych sporów i wzajemnych zadrapań, nie do pomyślenia było, żeby jedna z nas miała się na drugą obrazić. W tej chwili natomiast, rezygnując z wchodzenia w szczegóły cisnących się w nadmiarze wspomnień, chcę spróbować spojrzeć na tę naszą wspólną przeszłość nieco inaczej. Jak już powiedziałam na wstępie, ciągle się czegoś od niej uczyłam. I o tym właśnie, czego się choć trochę nauczyłam, chciałabym pokrótce opowiedzieć – w duchu wdzięczności, spłacania długu i serdecznej pamięci.

Myślę więc, że nauczyłam się niezwykle poważnego stosunku do pracy naukowej, traktowanej jako powołanie do szukania prawdy, do odkrywania jakiejś jej części. Nie żebym sama już wcześniej nie weszła na tę drogę; ale wydawało mi się, że wystarczy siedzieć w swoim kąci i z dostępnych na miejscu materiałów wydobywać, co się da. Krysia była starsza, dojrzała, miała szersze spojrzenie i już pierwszy pobyt we Francji uświadomił jej jasno, jak bardzo długie lata izolacji odcięły nas w Polsce od aktualnego stanu wiedzy filologicznej, od dobrze zaopatrzonych bibliotek, czasopism naukowych, spotkań z wybitnymi specjalistami i wymiany myśli. Z właściwą sobie dalekowzrocznością i konsekwencją podjęła decyzję, że musi stać się filologiem z prawdziwego zdarzenia. Wyznaję szczerze, że jej dążenie do uzyskania doktoratu na Sorbonie wydało mi się początkowo przerostem ambicji: czyż nie wystarczy jej nasz zwykły, polski doktorat? Ale to zdobyte kosztem wielu wysiłków i wyrzeczeń osiągnięcie – ówczesny *doctorat d'Etat*, którego poziom odpowiadał co najmniej polskiej habilitacji – rzeczywiście wprowadziło ją w krąg najbardziej liczących się znawców

literatury francuskiej renesansu, a także średniowiecza. Idąc moją własną, odmienną i skromniejszą dróżką, rozumiałam jednak, dzięki niej, konieczność wychodzenia z owego kąta, przełamywania nieśmiałości, szukania kontaktów, kierownictwa i inspiracji na szerszym forum. Nauczyła mnie też francuskiego naukowego (i nie tylko) *savoir-vivre'u*, umawiania się na każde spotkanie, pisania liścików zakończonych stosowną do rangi adresata formułą, komu się należą *sentiments respectueux*, a komu *très haute considération* itp. Wszystko to z lekkim przymrużeniem oka, ale jednak z respektem dla obyczajowości środowiska, w które się wchodzi.

Myślę, że sporo też skorzystałam, obserwując jej stosunek do ludzi. Wymagając wiele od siebie, Krysia wymagała i od innych, była krytyczna, czasem, w mojej ocenie, zbyt surowa. Ale równocześnie umiała wczuć się głęboko w cudzą sytuację, zwłaszcza trudną, czujnie pytać samą siebie, czy i w czym mogłaby pomóc. Uczylałm się przy niej uważniej słuchać i odważniej reagować. Zapewne również wiele mi dało dzielenie się doświadczeniem dydaktycznym, rozmowy o naszych studentach – naprawdę „naszych”, bliskich sercu – o sposobach prowadzenia zajęć i egzaminowania; współpraca przy doktoratach (ileż razy recenzowałyśmy sobie wzajemnie prace naszych doktorantów!), wspólny udział w konferencjach itp.

Ale oprócz kontaktów związanych z pracą uniwersytecką były też spotkania wakacyjne. I tu nie mogę pominąć jeszcze czegoś, czego mnie Krysia nauczyła i za co jestem jej szczególnie wdzięczna: nauczyła mnie – późno, bo byłam już wtedy po czterdzieście – chodzić w góry. Rzecz jasna, wcześniej także zdarzały mi się wakacyjne wypady z Krakowa, w różnym towarzystwie, w Tatry, Gorce czy Pieniny. Krysia jednak wzięła się do rzeczy systematycznie, jak do wszystkiego, i postanowiła przekazać mi umiejętności przejęte kiedyś od swojego ojca, przedwojennego nauczyciela, prowadzącego ze znanstwem po górach uczniów i własne córki. Wszystko było ważne, poczynając od doboru butów – ach, te przywiezione kiedyś przez nią z Francji dwie pary solidnych „grenoblaków”, o jakich w Polsce nie można było w tych czasach marzyć! Sztuka obmyślenia drogi, studiowanie szlaków na mapie, obliczanie potrzebnego czasu (zawsze z poprawką na nasz niemłody już wiek). Trzymanie się zasad niepisanego kodeksu (trzeba dostosowywać tempo do osoby najslabszej w grupie, a śmieci chować do woreczka); pilnowanie czasu, żeby zdążyć z powrotem przed nocą. Rozumiałam potrzebę tej dyscypliny, choć czasem miałoby się ochotę powłóczyć bez celu, albo posiedzieć dłużej na szczycie, zdobytym ciężkim wysiłkiem, między niebem a daleką ziemią, bez popędzania: „musimy już schodzić”. Zdarzały się oczywiście także luźniejsze dni wypoczynku, kiedy można było sobie pofolgować, pogapić się na piękny świat, a potem znowu radość wyruszania na kolejną wyprawę.

Dokąd? Nasze wakacyjne góry bywały różne. Zdarzały się Bieszczady, Gorce, Karkonosze, także, w ostatnim zwłaszcza okresie, mniej wymagające okolice Krynicy czy Zawoi. Jednak nade wszystko i wciąż od nowa – Tatry. Zakotwiczyliśmy się w ukochanym Kościelisku, choć dojazdy stamtąd autobusami, niekiedy „wypadającymi z kursu”, pożerały mnóstwo czasu. Oczywiście to nasze „taternictwo” nie miało nic wspólnego ze wspinaczką po pionowych ścianach skalnych nad przepaściami, ale, jak na możliwości starszych pań, trasy bywały nie do pogardzenia: ulubione Czerwone Wierchy z podchodzeniem i schodzeniem różnymi drogami, przejścia od Morskiego Oka do Doliny Pięciu Stawów lub odwrotnie... Także niedalekie i piękne Tatry Zachodnie: zdeptałyśmy chyba cały amfiteatr wokół Doliny Chochołowskiej. A na te wspomniane już dni mniej intensywne, dni wytchnienia, nadawały się szczególnie miejsca, skąd na góry roztaczał się widok bez końca: poczciwa Gubałówka, Głodówka, Rusinowa Polana. Tam zaś, nieco niżej, na Wiktorówkach była kaplica, do której, wychodząc rano z domu, można było zdążyć na codziennie odprawianą dominikańską „dwunastkę”...

No właśnie. Na koniec pozostało to, co najważniejsze i najtrudniejsze do wypowiedzenia. Nie, Krysia nie była pierwszą osobą, która nauczyła mnie wiary. Myślę jednak, że w początkowym zwłaszcza okresie naszej znajomości moja wiara potrzebowała wsparcia w wierze kogoś takiego jak ona. I że nasze najlepsze wspólne chwile to były te na kolanach. W paryskim kościele Saint-Jacques-le-Haut-Pas w pobliżu małych, tanich hotelików w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie często w tych czasach zagnieździł się polscy stypendyści, a także w tyłu innych kościołach Paryża, Warszawy, Krakowa, czy na naszych wakacyjnych szlakach. Zwłaszcza w Kościelisku, ten drewniany góralski kościół na szczycie wysokich schodów, co roku jakby czekający na nasz powrót...

W ostatnim dziesięcioleciu życia Krysi nie jeździłyśmy już nigdzie na wspólne wakacje i w ogóle dość rzadko miałyśmy okazję spotykać się osobiście. Jej stan zdrowia pogarszał się, a i dla mnie podróżowanie stawało się coraz uciążliwsze; zresztą wyrzucam sobie, że nie zmobilizowałam się w porę, by jeszcze odwiedzić ją w Warszawie, póki był na to czas. Rozmowa, którą zapamiętałam, musiała więc być jedną z ostatnich. Na ogół nie miałyśmy zwyczaju wiele narzekać na zdrowie, ale wtedy jakoś zeszyliśmy na temat naszych związanych z wiekiem utrapień – jej stopniowej utraty wzroku, mojego niedosłuchu utrudniającego kontakt z ludźmi. I nagle Krysia powiedziała bardzo spokojnie: „Tak, ślepniemy, głuchniemy. Ale za to zmartwychwstaniemy”.

Ufam, Krysiu. Do zobaczenia.